

Dariusz Żukowski

Jak w Indiach - Królowa Japonii

Barbarzyńca : pismo Koła Naukowego Etnologów UJ 12(2), 10-12

2008

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jak w Indiach – Królowa Japonii

Przestrzeń muzeum otwiera długi lastrykowy hol.

Szybki rzut oka wokół (osiemdziesiąte remontowane w dziewięćdziesiątych). Po lewej zasuszony człowiek za małym biureczkiem, wysoka bryła maszyny Nescafé, kolorowy szum dziecięcych ubranek, kakofoniczny atak spiętrzonych głosów. Potem szatnia, płaszcz, szatniarka, bloczek, którego nie wolno zgubić („Można powiesić te dwa razem”. „Panie, jasne, że dwa pójdą na jeden, i tak miejsca nie ma”). We właściwą część muzeum zanurzam się bez dalszej zwłoki, z nagłą, a podróż jest krótka, bo tylko kilka kroków za przeszklone gierkowskie drzwi.

Szary, chłodny półmrok. Przypadkowi zwiedzający powoli dryfują zakosami. Stojące pośrodku korytarza modele chłopskich domów, ciężkie, długie i masywne, to centrum grawitacji, ku któremu toczą się ludzie. Modele dominują przestrzeń – cisną się wokół nich zwiedzający, szeleszczą płaszcz, w opuszczonych oczach lśni

biały blask neonowych podświetleń. Dominują też czas – „Wykonany w 1905 roku przez malarza Antoniego Procajłowicza pod nadzorem Włodzimierza Tetmajera”. Wyprzedzają prawdziwe chłopskie domy jak Baudrillardowska mapa – terytorium. Znad pomniejszych strzech unosi się kwaśny zapach kurzu i chemikaliów.

Jak bile do luz ludzie zsuwają się z korytarza w rozmieszczone w ścianach drzwi, jamy zrekonstruowanych ludowych wnętrz. W pierwszej pełno (bo: [1] jest najbliżej wejścia, [2] leci z taśmy ludowa muzyka, [3] jest jasno i [4] kolorowo). Atrakcja wyczerpuje jednak szybko swoją moc, ludzkie bile wytaczają się na zewnątrz, już wolniej. Druga chata: siwa pani bardzo ładnie opowiada i głos ma miły, na pewno jest czyjąś babcią. Nie mogło być tam, na wsi, tak źle, skoro miła pani tak o tym pięknie opowiada.

W olejarni:

Matka: – Wyjdź stąd!

Synek: – Ale dlaczego?

M.: – Wyjdź, wyjdź!

S.: – Zakazane?!

M. (*po chwili wahania*): – No dobrze, idź szybciotko...

S.: – Mamo, dlaczego to muzeum jest takie małe?

W foluszu gra napięć. Ludzie chodzą w grupach. Każdy chce być autorytetem chociaż przez parę minut. Przecież nie chodzi o wiedzę, tylko o to, co się zrobi ze strzępkami informacji. Dektywistyczna robota.

Dziecko: – Co to jest?

Ojciec: – To jest folusz.

D.: – Czyli?

O.: – Czyli nie wiem...

Matka wzrusza ramionami.

O. (*po chwili*): – Tu było na gorącą wodę... I te młoty tak cpyku–pyku... Kto tymi młoteczkami ruszał?

Dziecko i matka wychodzą. Ojciec po chwili także wychodzi, słychać zza drzwi:

O.: – Już wiem, jak to działało.

Wracają.

O. (*demonstrując*): – Tutaj uderzało. I te młoty tak cpyk, a tam musiało być koło, gdzieś tam.

Młody człowiek A: – Co to, kurwa, młyn?

Młody człowiek B: – Hmm... kuchnia.

A: – Co to jest, hm...

Młody człowiek C (*z zewnątrz, czyta*): – Słuszyło do zbijania i rozbijania sukna.

B: – Czyli co?

A: – Chodźmy.

U zwieńczenia ciągu korytarza białe ściany i nisza, krótka parafraza katakumby, czerwony sznur odgradza wejście jak w Luwrze. Napis głosi: „Skarbczyk”. Czemu? Pięć przypadkowo

ustawionych naczyń, aksamitne draperie. To pewnie coś ważnego. Przed dalszym dociekaniem chroni mnie ręcznie wymalowana strzałka i już idę schodami na górę.

Na górze dominuje s z y b a. Bardzo długa, piękna, gdzieniegdzie nierówno odlana, co tylko przydaje jej masy i powagi (za nią jakieś manekiny: długi, rytmiczny szereg zdrowych, rumianych, amorficznych buź pozbawionych rysów, postacie mają jednak kolorowe stroje). Zasysa mnie ciąg kierunku zwiedzania. Zdjęcia. Przedmioty. O dziwo, nikt ze zwiedzających nie komentuje ekspozycji weselnej z motywem przewodnim „Wódka”. W kolejnym pomieszczeniu środkiem grawitacji jest rzeźbiony ul w kształcie wielkiego niedźwiedzia. Centrum emocji: psia kolczatka (faktycznie, mocno oddziałuje na wyobraźnię). W młodych głosach brzmi oburzenie.

Starsza pani muzealniczka z troską na twarzy i notesem w ręku przemierza pokoje w długich cyklach.

Kobieta: – Patrz, Janusz, jakie piękne ule!

Janusz: – Mhm.

K.: – Patrz, jak dbano o takie rzeczy, zwykły ul...

Dziewczyna A (*w tle*): – Jaka chuda krowa!

Dziewczyna B (*w tle*): – Jak w Indiach, nie?

K.: – Janusz, a to zdjęcie z 1988, całkiem niedawno! A wygląda, jakby ze sto lat miało.

J. (*z przejęciem*): – No przecież ja w latach siedemdziesiątych pasłem bydło!

K.: – Ty? Jakoś cię nie widzę z krową...

J.: – No, czasem, jak się pojechało na wieś... Nie tak często znowu, parę razy może...

Po drugiej stronie ula odnajduję sidła na jelenie. Mocna, stalowa pętla, dwa noże, w tle czarno-biały wizerunek ślicznego jelonka. Konkretnie zużyte ostrza zadają kłam papierowości

narysowanego zwierzęcia. Trzy wymiary kontra fotka przelicytowują fotkę: to się działo naprawdę. Ciężte tętnice, szamotanina, kwiki, wiadra krwi stają w wyobraźni. Jak one mogły być tak głupie, żeby wpychać łeb w niewielką przecież pętlę?

Dzieciak: – To to dziadostwo tak hałasuje?

Ja: – Tak.

Stoimy przed koszem z ludowymi drobiazgami („Wózek dyngusowy, lata 1920”), w którym dominuje kolorowy kogut z wybałuszonymi paciorkami szklanych oczu.

D.: – Co mu trzeba zrobić?

Ja: – Klasnąć.

Klaszczę. Rozlega się mechaniczny skrzek *made in Taiwan*. Przez chwilę klaszczemy obaj. Dzieciak odchodzi.

Między surowe postaci polskich kolędników wciśnięty łeb czegoś w rodzaju chińskiego smoka (artefakt z diablady boliwijskiej). Śmierć, król, diabeł. Najgorszy jest turoń: wysoki, smukły, szczupły, bury, przypomina mi Bukę z *Mumin-ków*. W rogu pomieszczenia hałasuje telewizor niczym instalacja wideo na wystawie w Bunkrze Sztuki.

Mama (*do dziecka, wskazując manekiny kolędników*): – ... i przebiali się za króla (*pokazując boliwijską maskę*), za diabła, za śmierć, za... jakiegoś... nie wiem...

Dziecko nie słucha.

Potem schody w dół, wydostaję się z ciągu zwiedzania i znów wpadam na stół bilardowy korytarza. Na odchodnym jeszcze raz wnetrze chaty, półmrok. Dawniej wisiała tam Matka Boska Królowa Japonii (żart kolegi z niedostatków formy), szukam jej wzrokiem, schowano.

Młody człowiek D: – Hulajnoga.

Młody człowiek E: – Nie...

D: – Hulajnoga, no. Bo nie masz pedałów.

E: – A z którego wieku to było?

D: – Nie wiem.

E: – Z XVII czy XVIII?

D: – Nie wiem!

Napisów powyżej dwóch zdań nikt nie czyta. Pewnie istnieje gdzieś dla nich czytelnik modelowy. Jest to człowiek zakurzony, spokojny, powolny w ruchach i dociekliwy. Być może starszy, zapewne miły w obejściu. Przyglądając się w skupieniu etykietce, wysuwa głowę w przód, kciukiem i palcem wskazującym gładzi machinalnie brodę. Może kupiłby w szatni w drodze powrotnej glinianego ptaszka z gwizdkiem za 4,50 zł, nie dlatego żeby w niego gwizdać w domu – bo człowiek ten woli ciszę i spokój – ale dlatego że sądzi, iż tak wypada.

Gwizdź lekko w ogonek kogutka. Fiuuu! – a niech to, działa, taki zwykły kawałek gliny... Zbliży się pani szatniarka, będzie myślała, że chce kupić tego ptaszka. Zapinam płaszcz i uciekam w deszcz, zanim presja oczekiwań będzie zbyt wielka.